

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

Condominium.

Dla każdego realnie myślącego polityka nie ulegało ani przez chwilę wątpliwości, że spór polsko-litewski o Wilno nie da się inaczej rozstrzygnąć, jak za pomocą kompromisu. Nieprzejednane stanowisko obu stron i wrocie ich wobec siebie nastroje nie rokowały wprawdzie powodzenia jakimkolwiek próbom porozumienia, ale doświadczenie uczy, że psychika ludzka ulega nieraz szybkim i radykalnym przeobrażeniom pod wpływem najrozmaitszych czynników. Wystarczy przypomnieć, jak wrogo była usposobiona opinja francuska względem Anglii w okresie Faszody i jak w kilkanaście lat potem niechęć zamieniła się w entuzjazm, który znów obecnie ustępuje miejsca chłodnej rezerwie. Więc i stosunki polsko-litewskie z łatwością mogą wejść w fazę jeżeli nie serdecznego zbliżenia, to poprawnego sąsiedzkiego współżycia, gdyby znaleziony został sposób pogodzenia wzajemnych pretensyj względem Wilna i Wileńszczyzny.

W swoim czasie taką próbą załatwienia spornej sprawy wileńskiej był projekt Hymansa, który jednakże miał tę wadę, że sięgał zbyt daleko i głęboko, nie ograniczając się wyłącznie do terenu Wileńszczyzny (czyli ówczesnej Litwy Środkowej), bo godził nawet w zasadę suwerenności całego państwa litewskiego. Zresztą w owym czasie zarówno Polska jak Litwa ludziły się, że zdołają zrealizować swoje programy maksymalne bez żadnych ustępstw i nie były skłonne do jakiegokolwiek kompromisu.

Rzeczywistość jednakże przekonała obie strony, że stanowisko ich było mylne. Wprawdzie Polska, korzystając ze swej przewagi militarnej i dyplomatycznej zatrzymała przy sobie Wilno i Wileńszczyznę, nie oglądając się na protesty Litwy, lecz wzamian zyskała zaciętego przeciwnika w polityce międzyna-

rodowej, którego postawa krzyżuje jej planową akcję na wschodzie Europy zarówno pod względem militarnym, jak ekonomicznym. Z drugiej strony Litwa, wobec faktu dokonanego wcielenia Wileńszczyzny do państwa polskiego i zawodu w swych oczekiwaniach na interwencję niemiecko-rosyjską znalazła się w sytuacji nienormalnej, wynikającej z przedłużającego się w nieskończoność prowizorium.

W tych warunkach, mimo uroczystych zapewnień oficjalnych i prasowych, z jednej strony o niezmienności dążeń restytucyjnych w całej ich rozciągłości, z drugiej zaś strony o niezmienności obecnego stanu posiadania — i tu i tam w głowach bardziej rozważnych polityków musiało dojrzywać przekonanie, że trzeba poddać gruntownej rewizji dotychczasowe stanowisko nieprzejednane, wpływające z pobudek bardziej uczuciowych, niż rozumowych.

Już w zeszłym roku ukazała się bardzo ciekawa publikacja polska, o której zdawaliśmy sprawę na łamach naszego pisma, którą jednak spotkał los wszystkich oryginalnych, odbiegających od szablonowych poglądów, rozważań. Została ona przemilczana przez prasę polską i nie wywarła żadnego wpływu na opinię publiczną. Być może jednakże oddziałała ona w pewnej mierze na czynniki rządzące. Mamy na myśli obszerną broszurę Consulibus'a p. t. „Doświadczenie i błędy naszej polityki zagranicznej wobec zadań chwili”: Autor jej, ukrywający się pod powyższym nieco dziwacznym pseudonimem dużo uwagi poświęcił stosunkom polsko-litewskim i wystąpił z gruntownie umotywowanym wnioskiem uregulowania ich na podstawie pewnych rezygnacji państwowych ze strony Polski w kwestji wileńskiej. Jako jedną z form rezygnacji Consulibus wysunął projekt condominium. Zmiana polegałaby na tem, że obszar Wileńszczyzny byłby wyodrębniony z Rzeczypospolitej Polskiej i urządzony dość podobnie do dzisiejszego wolnego miasta Gdańska, czyli miałby

władze autonomiczne, zagwarantowane przez oba państwa, delegujące swych komisarzy i ewentualnie załogi, przyczem oczywiście obydwaj kontrahenci i ich obywatele mieliby równe tu prawa i obowiązki, a podlegaliby w kwestjach spornych arbitrażowi międzynarodowemu, jako wzajemnej gwarancji pokojowego ich załatwienia. W urządzeniach zaś wewnętrznych Wileńszczyzny należałoby wprowadzić absolutne równouprawnienie obu narodowości i języków oraz stosowne ich przedstawicielstwo we władzach autonomicznych. (Autor zapomniał czy celowo pominął element białoruski).

Rozwiązanie to — zdaniem Consulibus'a — psychologicznie jest łatwiejsze do przeprowadzenia od innych projektów. Polska bowiem nie traci w ten sposób Wileńszczyzny, godząc się jedynie na współpracę w jej organizacji drugiego państwa. Litwini znów musieliby się zastanowić poważnie, czy nie warto dla tej koncepcji zejść ze stanowiska nieprzejednanego. Bo przecież obecnego stanu posiadania ona im w niczem nie uszczupla i niepodległości nie pomniejsza ani zastrzeżeń do ustroju wewnętrznego nie wprowadza, a zarazem daje w upragnionem Wilnie wprowadzić nie jako w siedzibie rządu (mogłoby i to być, choć z trudem przy condominium pomyslane), ale niechby jako w stolicy narodowej, bardzo poważne uprawnienia językowe i państwowe. Tego rodzaju więc propozycje ze strony polskiej mogłyby być wzięte przez Litwę jako podstawa do układów.

Jeżeli wspominaliśmy tu o projekcie Consulibus'a, to dlatego, że pomysł condominiumalnego rozstrzygnięcia sporu polsko-litewskiego o Wilno, przed rokiem jeszcze, zdawało się, najzupełniej fantastyczny, obecnie zaczyna nabierać bardziej realnych kształtów, jak o tem zapewniają dobrze zwykle poinformowani korespondenci pism zagranicznych.

Wbrew urzędowym zaprzeczeniom bowiem, — podobno — pomiędzy Warszawą a Kownem zapoczątkowane zostały przy pośrednictwie francuskiej i angielskiej dyplomacji rokowania, a nawet podobno miała już dojść do skutku pewna umowa przedwstępna w sprawie wileńskiej, w myśl właśnie owych condominiumalnych kombinacji.

Ile jest w tem prawdy, trudno wyrokować, niewątpliwie jednak szereg symptomatów wskazuje, że coś się dzieje za kulisami dyplomatycznymi. Uważna analiza przemówienia premiera Waldemarasa, wygłoszonego d. 25 lutego w Sejmie kowieńskim nasuwa wniosek, że rząd litewski, nie rezygnując z zasadniczego narodowego postulatu odzyskania Wilna, nie odrzuca, jak to dotąd było, możliwości osiągnięcia w tej sprawie wyników częściowych.

Bardzo słusznie podkreśla korespondent „Berliner Tageblatt“, że ważnym jest nie to, co powiedział premier w swem expose, lecz to, co pominął milczeniem. I tą okoliczność, że w mowie nie było wzmianki o stanie wojny z Polską — nie jest szczególnie bez znaczenia.

Z drugiej strony dają dużo do myślenia takie fakty, jak poczynione przez rząd polski ułatwienia przyjazdu delegatom kowieńskim na pogrzeb ś. p. Basanowicza oraz konfiskata „Słowa“ za artykuł, domagający się zbrojnego zajęcia Litwy. Są to objawy dotychczas w stosunkach polsko-litewskich nie notowane.

Mnożą się oznaki na niebie i ziemi, że znajdujemy się w przededniu doniosłych wydarzeń.

Polemika o mniejszość rosyjską.

(Odpowiedź p. D. Bochana).

Jestem bardzo wdzięczny Szanownej Redakcji „Prz. Wil.“, która pozwoliła mi poruszyć na łamach pisma sprawę mniejszości rosyjskiej w państwie polskim. Uczyniłem to z całkiem innych pobudek, niż mniema p. B.S., który mówi o jakichś „tendencjach rasyfikatorskich“ z mojej strony, albo, jak drugi oponent mój p. K. B., rozumujący tak: jeżeli w Rosji carskiej, wobec wysokiego $\frac{1}{10}$ analfabetów, przyjmowano nie raz na różne stanowiska wykształconych Polaków, to ten fakt nie daje prawa Rosjanom rościć teraz jakichkolwiek pretensyj do zajmowania posad w wyzwolonej Polsce,

Nie o to wcale mi chodziło, nie chciałem zupełnie wywoływać strasznych cieni przeszłości i wszczynać dyskusji zupełnie jałowej; może w artykule swoim użyłem wyrazów zanadto ostrych — ale myśl moja była zupełnie jasną, i dziwię się, jak źle byłam zrozumiany i przez Białorusina B. S. i przez katolika K. B.

Pierwszy zarzuca mi, że kraj nasz — Wileńszczyznę — nazywam Polską, wtedy gdy on jest krajem litewsko-białoruskim. Ale ja dlatego nie wspominałem ani o Litwinach, ani o Białorusinach, że mnie, Rosjaninowi, tutaj zamieszkałemu, wypada mieć do czynienia z władzami polskimi, a nie litewsko-białoruskimi, i władze polskie jak również i ludność polska, zgodnie orzekają: tutaj Rosjan niema wcale. Teraz widzę, że i ludność litewsko-białoruska jest tegoż zdania, i wszystkie, nawet czysto kulturalne dążenia Rosjan tutejszych (których niemal) skłonna jest kwalifikować, jako dążenia, rasyfikatorskie! Ale pozwolę sobie zwrócić uwagę szanownego oponenta, że podobny ciasny pogląd jest pogwałceniem naturalnych praw pewnej części obywateli państwa, i historia (choćby przykład tejże Rosji carskiej) srogo zawsze mści się za to. Uwaga p. B. S. o zachłanności mojej, jako człowieka „priobszczonnago k russkoj kulturie“, niezmiernie mnie dziwi. Jeżeli urzędowa statystyka jest zawsze fałszywą, (w Wileńszczyźnie 85 $\frac{1}{10}$ Polaków, w Nowogródzkiem 54 $\frac{1}{10}$ i t. d. a tam mieszkają prawie wyłącznie Białorusini) i zalicza ludność setek czysto białoruskich wiosek w poczet ludności polskiej (jak za czasów carskich — do rosyjskiej) — to jest to wynikiem pewnych „narodowych“ poglądów i ośmieszają władze; ale co odpowiedzieć człowiekowi, który wam w żywe oczy mówi: „co? tyś Rosjanin? nic podobnego! — jesteś Białorusinem!“ Tu przecież samopoczucie narodowe wchodzi w grę, jako czynnik najważniejszy. Z pochodzenia i ze krwi Gogol był Ukraińcem — ale będąc z całej duszy Rosjaninem,

jako wielki pisarz, wzbogacił literaturę rosyjską; Do-
stojewski — Białorusin ze krwi — był pisarzem ro-
syjskim; Antokolski, Rubinsztejn, Lewitan — Żydzi
ze krwi — są ozdobą i sławą sztuki rosyjskiej. Je-
żeli pp. M. Radziwiłowa, R. Skirmunt i in. mówią,
że są oni — Białorusinami, to śmiesznym byłoby
przeczyć temu; niemniej śmiesznym byłoby sprzeczać
się z rodziną pp. Iwanowskich, gdzie jeden brat —
Białorusin, drugi — Litwin, trzeci — Polak. I ja,
skromny dziennikarz — literat rosyjski, mówię, z pocho-
dzenia Białorusin (z Mińska) — jestem Rosjaninem i cho-
ciaż wy, nacjonałiści w polskim czy białoruskim
aspekcie przeczyście temu, — jednak tak, jak ja, my-
ślących w granicach państwa polskiego jest 1.400.000
osób*), którzy wysłali przedstawicieli swoich na świeżo
odbyty we Lwowie zjazd rosyjski.

Nie myślimy i nie chcemy nikogo rusyfikować,
ale nie chcemy, żeby nas, Rosjan, według widzimisię
swego, zaliczali — jedni do Polaków, drudzy — do
Białorusinów lub Ukraińców i mówili — że nas nie-
ma. Twierdzenie p. B. S., że ja wszystkich Białoru-
sinów zaliczam do narodowości rosyjskiej, bo mówię
o sprawach cerkwi prawosławnej, jako o sprawie wy-
łącznie rosyjskiej, trąci humorystyką: popierwsze —
słowo *wyłącznie* należy do p. B. S., po-dru-gie: tak
rozumując, można powiedzieć, że np. zdanie: „Żydom
w Polsce jest źle“, oznacza — że wszyscy Polacy za-
liczają się do Żydów, bo i Polakom też powodzi się
w Polsce nie zbyt dobrze!..

Znacznie poważniejsze argumenty przytacza opo-
nent mój, p. K. B., w obronie katolików. Że ka-
tolicyzm był w Rosji carskiej prześladowany — to się
nie da zaprzeczyć, ale trzeba tu uczynić pewne za-
strzeżenie: prześladowany był głównie katolicyzm
polSKI, zabarwiony politycznie, a związany z mową
polską i literaturą polską. Walkę z katolicyzmem pro-
wadzono równoległe z tępieniem polskości. Drugi
zarzut dotyczący Unji, wysunięty przez p. K. B., że
katolicy „powinni nie przyjmować tych przychodzą-
cych do nich, którzy jak p. Bochan pisze, marzą
o kawałku chleba“ — dla mnie jest zupełnie niezro-
zumiały. Jeżeli „nie powinni“ — to pocóż przyjmują?!
Przecież my, prawosławni, dokładnie wiemy, *kto* od
nas odchodził!..

Również nie uda się p. K. B. udowodnić, że
mianowanie Polaka-katolika gen. Hurczyzna dowódcą
wojsk okręgu wileńskiego (jak również tysięcy innych)
nastąpiło wskutek „wysokiego %o analfabetów w Ro-
sji“. I bez generała-Polaka, znaleźliby się w Rosji
generałowie, zdolni zająć to stanowisko, jak i tysiące
innych. P. K. B. powinien byłby przyznać, że to była
pewna linja polityczna, mądra, przezorna, do której,
niestety, w Polsce jeszcze daleko. Doskonale to
rozumieją właśnie przedstawiciele odłamu społeczeń-
stwa litewsko-białoruskiego w naszym kraju.

Reasumuję: artykułem swoim chciałem zwrócić
uwagę społeczeństwa krajowego na to, że pewien od-
łam ludności miejscowej — Rosjanie — tutaj istnieje, do-
maga się słusznie należących mu praw mniejszości na-
rodowej, a wcale nie marzy o tem, co zarzucają mu Biał-
orusini — o rusyfikacji, ani o tem, co twierdzą katolicy —
o walce z katolicyzmem. Wszystkie te „strachy na
lacy“ już dlatego są nieuzasadnione, że za plecami
Rosjan tutejszych nie stoi przepotężne państwo,
a sami oni są w biedzie i niedostatku.

*) Napewno w tej liczbie, co najmniej miljon nie myśli
tak, jak p. Bochan, bo żadnego uświadomienia narodowego
nie posiada. Ten miljon — to masy ludu prawosławnego — biało-
ruskiego i ukraińskiego, być może częściowo zrusyfikowanego,
ale bynajmniej nie rosyjskiego z przekonania. (Przyp. Red.).

Nie stosujcie panowie, do nas tych samych
metod i praktyk, jakie do was samych stosowała
Rosja carska! Ona — źle skończyła.

* * *

Ostatecznie mnie wcale nie dziwią poglądy
szowinistów-nacjonalistów, jeżeli mniej — więcej tak
samo, jak i oni, na kwestję rosyjską w Polsce za-
patrują się absolutnie wszyscy Polacy, bez różnicy
poglądów politycznych. Najlepszym przykładem tego
może służyć myśl przewodnia redakcyjnego artykułu
„Ten trzeci“ № 3 „Prz. Wil.“. Nawet taki bezwarun-
kowo bezstronny organ, uznający zasadniczo prawa
mniejszości narodowych, nie może pogodzić się
z tem, że obok innych mniejszości, Rosjanie też chcą
mieć to, co im jako i innym mniejszościowym oby-
watelom, zagwarantowała i Konstytucja Polska, i tra-
ktaty międzynarodowe. Dlaczego, ośmielam się za-
pytać Sz. Redakcję, zjazd we Lwowie przedstawicieli
„Ros. Zjednoczenia Narodowego“ — „zdradza, według
słów artykułu, niezgorsze apetyty i niedwuznaczne
zakusy niepoprawnych bankrutów politycznych“? Ta-
ki frazes w przyzwoitym organie prasy — a nie w świs-
tku zwarjowanych endeków — conajmniej jest dziwny!..
Nie oto chodzi, kto są Rosjanie — bankruci polityczni
(niby przez bolszewizm, co?), zachłanni zaborcy, czy
nawet idjoci — ale o to tylko: czy istnieją oni tutaj,
w granicach państwa polskiego, czy też nie? Endecy
mówią: niema ich, tak samo, jak niema żadnych
mniejszości, a są sami tylko Polacy, a zatem — ża-
dnych swobód i ustępstw! A na poparcie tego wysu-
wa się sfałszowana statystyka, sfałszowana za pomocą
tych samych sposobów, jakimi w swoim czasie po-
sługiwał się rząd carski. Przy takim rozumowaniu,
otrzymamy wniosek, jeżeli i nie bardzo mądry, to
przynajmniej konsekwentny; ale „Przegl. Wil.“ nie
kwestjonuje samego faktu i uznaje, że Rosjanie
tutaj są. Jeżeli tak to dlaczego odsądzać ich od
wszystkiego? Jeżeli są, to albo mają prawo być
uznani za mniejszość, albo... precz z Konstytucją
i traktatami! Pocóż ma istnieć ot, tak sobie, dla re-
klamy, dla Europy?!..

Z tego zaczarowanego koła nie wybrnie najzdol-
niejszy publicysta, jeżeli nie będzie miał odwagi
szczerze, otwarcie powiedzieć: rozumie się, Rosja-
nie są u nas, ale... lepiej dla nas, i prawych, i lewych,
i dla Polaków różnych obozów, i dla mniejszości sło-
wiańskich, żeby ich jakby wcale nie było!.. Poco oni?
Rosja Sowiecka — w marazmie bolszewizmu, ale 10—
20 lat w życiu państwa — to jedna chwila, i kto wie,
co będzie potem? Samo pojęcie „Rosja“ — to potęgła
I nie tylko materialna, wojskowa (nawet.. za czasów
sowieckich), ale, niech piszą, co chcą o truciznie ze
wschodu, o „czapce Monomacha“ (jedna z gazet
krakowskich ma stałą rubrykę: „Z pod czapki Mo-
nomacha“, gdzie się pisze o kryminalnych wykro-
czeniach administracji.. polskiej!) i t. d. — wpływ kul-
tury rosyjskiej nie zmniejszy się na małe narody,
owszem z biegiem czasu nawet zwiększyć się musi...
Poco teraz mamy torować drogę dla tych wpływów?
Lepiej, zgodnie z endecją, będziemy krzyczeć: ich tu
niema, tych Moskali, co wydali Arakcejewa, Mura-
wjewa i Lenina, a kto mówi, że są, zdradza „niez-
gorsze apetyty i niedwuznaczne zakusy!“.

Niestety, nikt tego otwarcie nie powie! Strach —
prosty zwierzęcy strach i obawa wpływów kultural-
nych, które mogą zaszkodzić rozwijaniu się nowo-
powstałych, narazie wegetujących i wątych kultur
małych narodów — nie pozwala ani Polakom, ani

mniejszościom słowiańskim sędzić sprawiedliwie... i mądrzel Wszyscy, jakby zmówiwszy się—przeciwni są udzieleniu praw mniejszościowych Moskalom!..

D. D. Bochan

(Przyp. Red.) P. Bochan zupełnie niepotrzebnie się irytuje. Nikt z rozsądnych krajowców nie myśli odmawiać Rosjanom praw mniejszości narodowej. Być może władze polskie inaczej się zapatrują na tę kwestję, ale my nie posiadamy na kierunek ich polityki żadnego wpływu i nie możemy ponosić za ich postępowanie żadnej odpowiedzialności. Natomiast bardzo wyraźnie musimy się zastrzec przeciwko tendencjom unifikatorskim, tak dobitnie zaznaczonym na zjeździe lwowskim. Na tym punkcie istotnie są zgodni i państwowcy polscy i krajowcy i Białorusini i Ukraińcy. Ale p. Bochan najważniejszy ten punkt pomija na swej replice milczeniem, mimo, że stanowił on najciekawszy moment w obradach lwowskich i on to właśnie wywołał nasz artykuł. Określiliśmy jako „niezgodne apetyty i niedwuznaczne zakusy niepoprawnych bankrutów politycznych” te uchwały zjazdu lwowskiego, które mówią o narodowej i kulturalnej jedności wszystkich plemion „russkich” i czyż jest coś dziwnego w tem, że zwalczając nacjonalizm polski przeciwstawiamy się również ostro zachłanności rosyjskiej? Użyliśmy terminu „bankruci polityczni”, mając na myśli nie triumf bolszewizmu, lecz krach wszechrosyjskiego imperjalizmu, o którym nie mogą zapomnieć uczestnicy zjazdu lwowskiego.

A że nie jest to z naszej strony przywidzenie—świadczy o tem najlepiej uchwała, powzięta w dn. 20 lutego na zebraniu wileńskiego oddziału R. N. Z. korygująca maksymalistyczne brzmienie uchwał lwowskich i uznająca w całej pełni odrębność narodową Białorusinów. Uchwała ta została powitana z wielkim uznaniem przez dziennik rosyjski „Za swobodu”, jako krok wysoce polityczny. Nawet prasa rosyjska potępiła szowinizm i tendencje wszechrosyjskie, jakie się ujawniły na zjeździe lwowskim a p. Bochan oburza się na „Przegląd Wil.” za rzekomą jego nietolerancję! Gdyby p. Bochan nie uniósł się gniewem, z łatwością by dostrzegł, że występowaliśmy nie przeciwko udzieleniu Rosjanom równych praw oraz zapewnienia im możliwości rozwoju kulturalnego, lecz przeciwko dążnościom do utożsamiania Rosjan z Ukraińcami i Białorusinami, cechującym zresztą nie tylko nacjonalizm wszechrosyjski, lecz i wszechpolski. Dowodem może służyć artykuł jakiegoś Murdelio p. t. „Do obrońców sprawy białoruskiej” w Nr. 50 „Dziennika Wil.”.

Banicja ks. Szymaszysa.

Wtorek zapustny pozostanie pamiętnym w dziejach Dukszt (pow. Brastawski). Administracja wybrała ten dzień, by wydalic z granic państwa proboszcza duksztańskiego ks. Szymaszysa. I dokonała swego.

Sprawa zasługuje na uwagę zasadniczo, jako ilustracja stosunków pokonkordatowych w Polsce, i okolicznościowo, a to dla szeregu nowych w niej zgoła momentów. Potwierdza ona najzupełniej fakt dziś już oczywisty, że pod rządami polskimi Kościołowi równie daleko do pełnej swobody jak i za rządów carskich, gdy tak hulala samowola administracyjna

Banicja ks. Szymaszysa znacznie się różni od

pozornie analogicznych wypadków, jak np. wygnanie ks. Erciusa, a nawet deportacja kanonika Kuchty. Różni się tem, że nie ks. Szymaszys przybył do Polski, lecz *Polska* w r. 1920 zajęła Brastawskie, a z niem razem Dukszty, gdzie był on proboszczem. Proklamując wcielenie terenów i ludności w Duksztach Polska, acz nieformalnie, uznała tamecznych mieszkańców za swych obywateli, mających dawać rekruta i płacić podatki. Nie był tedy ks. Szymaszys *lästige Ausländer*, który czy to z Litwy, czy też w drodze powrotnej z Rosji lub Skądinąd, próbuje w Polsce osiąść i staje się dla tych lub innych przyczyn niepożądanym gościem. Ks. Szymaszys był więc w Duksztach u siebie, nie w charakterze wędrowca, emigranta lub uciekiniera, lecz jako proboszcz kanoniczny, wyznaczony tu z ramienia prawowitej władzy duchownej.

Cała działalność ks. Szymaszysa w Duksztach miała charakter nie polityczny, lecz *wybitnie* kulturalny. Zakładał on szkoły, otwierał biblioteki i czytelnie, popierał oświatowe T-wo św. Kazimierza, szerzył ruch spółdzielczy, urządzał wieczorki wokalmuzyczne, tworzył przeróżne bractwa itd. Dukszty—parafia litewska, a znikomy odsetek polski tworzy w niej tylko kilka rodzin ziemiańskich, wyprzedających ziemie i lasy, jak pp. Zanowie, Francuzowiczowa i in., jeśli nie liczyć garści urzędników, wojskowych, policjantów i prowokatorów, dziękujących dziś władzy za czyn dokonany. Religijne potrzeby Polaków w kościele były dostatecznie zapewnione: co niedziela czytana była z ambony ewangelja po polsku, ponadto stale były kazania polskie w każdą „bracką” (raz na miesiąc) niedzielę i w dni odpustowe. Rozumie się, nie brakło też kazań polskich podczas obchodów narodowych, jak np. 3 maja, gdy sam ks. Szymaszys wygłaszał odpowiednią przemowę. A że nie godził się on na profanowanie świątyni Pańskiej śpiewaniem Roty Konopnickiej, odsyłając niewczesnych petentów do ordynarjatu po pozwolenie, któż mu to za złe brać może?! O wysokim poczuciu godności kapłańskiej i kaznodziejskiej, jak też o cywilnej jego odwadze świadczy fakt, że ks. Szymaszys nie wahał się z ambony potępić szaulisów za dokonanie paru napadów, jakie napiętnował mianem popolitego bandytyzmu, chociaż wiedział przecież, że za kordonem niechętni mu ludzie krok ten poczytywać będą za brak patriotyzmu, niemal za zaprzaństwo. Tu należy podkreślić, że uczciwsze jednostki z policji oceniały należycie prawość ks. Szymaszysa. Jeszcze lepiej układały się stosunki z polskimi wojskowymi, którzy nawet po wyjeździe z Dukszt przyjeżdżali w odwiedziny do proboszcza. Łatwo zrozumieć, że przy tak czynnym a gorliwym proboszczu litewskość nie poddawała się, owszem paraliżowała wynaradawiające tendencje administracji.

Niezaszczytną rolę oszczerców proboszcza Litwina, a razem burzycieli spokoju w parafji i obrońców polskości w kościele (mimo że doń nie uczęszczali!) wzięli na siebie wymienieni już pp. Zanowie, Francuzowiczowa, wójt z nominacji i jeszcze inne osoby, stanowiące w Duksztach mózg i serce Z. B. K. Skądinąd wiadomo, że dosłownie *nikt* tak nie potrafi nienawidzić Litwinów, ich starożytnej mowy i pięknego obyczaju, jak właśnie wynaradowiona najczęściej Polka kresowa!

Nie było chyba oszczerstwa i kłamstwa, któremi by nie posługiwało się to małe ale dobrane towarzystwo. Skargi, donosy, paszkwile, szykany, pogrożki były zwykłą metodą tych przedstawicieli u nas wyższości kultu-

ralnej wobec litewskiego barbarzyństwa. Niektóre z nich warto tu zanotować. Tak np. ks. Szymaszys został oskarżony o zburzenie grobów rodzinnych Rustemów, chociaż gdzieś indziej są pochowani. Specjalna komisja zjeżdżała dla zbadania tego oskarżenia i stwierdziła całą jego nicość (oskarżycielka nawet się nie zjawiła!) Dalej inkryminowano ks. Szymaszysowi, że jest aż... szpiegiem litewskim, — z równem oczywiście powodzeniem. Gdy i to nie pomogło, podrzucano w pobliżu siedziby proboszcza pudełko piroksyliny, zawinięte w gazetę, wyrzuconą widać z plebanji, bo mającą na sobie akurat kartkę z adresem ks. Szymaszysa. Rozgłośny napad nocny na dwór pp. Zanów, podczas którego pani Zanowa miała okazać zdumionemu światu cuda waleczności, nosi cechy jakiejś mistyfikacji, bo napastnicy czy mistyfikatory domagali się też i od księdza, by w nocy wyszedł do nich...

O tem, jak pilno było wrogom ks. Szymaszysa znaleźć jakieś poszlaki do zastosowania doń szykan policyjnych, wymownie przekonywa nas okoliczność, że w Brasławiu dwaj osadzeni przez policję w areszcie Litwini, Pietkielis i Pietrokas, bici byli, przyczem mówiono do nich: „Przyznaj się, że proboszcz Szymaszys namawiał Ciebie, byś został szaulisem!“. Tak pracowano nad urobieniem ks. Szymaszysowi opinii jakiegoś tajemniczego naczelnika szaulisów... W takiej atmosferze musiał żyć i pracować ks. Szymaszys od r. 1920 po 1927..

Już przed trzema laty starosta brasławski chciał na własną ręką wydalić ks. Szymaszysa z Polski. „Sam nie pojedę; jeśli chcecie, możecie mię wywieźć!“ odparł ksiądz. Nie udało się. Proboszcz jednak, mimo odmowy pozwolenia na wyjazd do Wilna, jakoś dotarł do wojewody Raczkiewicza i miał u niego dwa posłuchania. Wielkorządca kraju zaznaczył, że nic nie ma przeciwko pracy kulturalnej, której rację bytu sam najzupełniej uznaje. Miał się nawet wyrazić, że będąc na miejscu księdza, sam ją prowadziłby. Już za rządów bpa sufr. Michalkiewicza, w charakterze wikariusza kapitulnego, był wezwany doń ks. Szymaszys, by tłumaczyć się z stawianych mu zarzutów. Wrogowie księdza nie spali.

Pierwiej znowu, nim przybył do Wilna arcybiskup Jałbrzykowski, pp. Zanowie, podobnie jak p. Obst, a więc latem 1926 r. nie skrywali swej nadziei, że dopiero nowy arcybiskup ziści ich pragnienia co do zmiany proboszcza, — jakby w Wilnie dlań nic pilniejszego nie było do roboty.

Przygrywką do zajęć obecnych było telegraficzne wezwanie ks. Szymaszysa w styczniu do Wilna, gdzie Arcybiskup zakomunikował mu o domaganiu się przez administrację translokaty księdza do jednej z odległych parafij polskich. Ks. Szymaszys nie trzymał się kurczowo probostwa duksztańskiego i zasadniczo gotów był jechać nawet na wikariat, byle do parafji litewskiej. Co do *meritum* zarzutów, to ksiądz oświadczył, że nie poczuwa się do żadnej winy i prosi o zbadanie drogą sądową wytoczonych przeciw niemu inkryminacyj. Słusznie chciał wprzód się oczyścić z zarzutów, a potem przenieść się na inne miejsce.

Ostatni akt sprawy miał taki przebieg. Ks. Szymaszys został wezwany depeszą do Wilna akurat na wtorek zapustny (1 marca), gdy szereg par miał stanąć do ślubu. Niechcąc zrobić im swą nieobecnością straszliwego zawodu i zostawić parafji na jutrz bez nabożeństwa popielcowego, ks. Szymaszys zapowiedział swe przybycie do Wilna na d. 3 marca. Tymczasem administracja przypuściła szturm do

władzy duchownej. Skutek był ten, że w nocy doręczono pobliskiemu dziekanowi święciańskiemu nakaz udania się rano do Dukszt, a komendant policji w Duksztach otrzymał od starosty polecenie, by nie wydalął się z miejsca urzędowania. W ostatni wtorek zapustny, o godz. 12 w poł. przybyli do Dukszt ks. dziekan Wojszutis i komendant policji powiatu święciańskiego. Policja konna, piesza i tajna otoczyła plebanję duksztańską, do której wkroczyli dziekan i komendant. Ks. Szymaszysowi doręczono nakaz wyjazdu do Litwy i dano *jedną* godzinę czasu na spakowanie rzeczy, w drodze łaski przedłużono potem do 3. Chociaż wysiedlenie nastąpiło wyłącznie w skutek żądania władzy administracyjnej, jednak przedstawiciele jej w Duksztach nie chcąc widocznie na siebie skierować odium ludności miejscowej, głośno rozprawiali o *porozumieniu Arcybiskupa z rządem*, potrącając na dowód w powietrzu papierem...

Gdy większą część rzeczy spakowano, ks. Szymaszys wsiadł na sanie i otoczony strażą policyjną ruszył powoli ku otwartej dziś dlań ze strony polskiej granicy litewskiej. Za nim ciągnęły furmanki z dobytkiem proboszczowskim.

Policja wykazała dużo sprytu i parafja dowiedziała się o zajściu po fakcie dokonanym.

Zebrano już kilka tysięcy podpisów na dwa podania z protestem — do Piłsudskiego i Arcybiskupa.

Pocziwi parafjanie duksztańscy sądzą w swej naiwności, że na świecie kogoś tam bardzo obchodzą ich krzywdy i żale...

Auksztajtis.

WOLNA TRYBUNA.

List otwarty do Redaktora „Dnia Polskiego“.

Ponieważ redakcja „Dnia Polskiego“ w Warszawie nie tylko nie wydrukowała niniejszego listu, ale nawet nie raczyła umotywić swej odmowy, względy kurtuazji dla zasłużonej na polu zbliżenia polsko-litewskiego autorki nakazują nam udzielić gościny zlekceważonemu przez Warszawę jej głosowi na szpaltach naszego pisma.

Niektóre ustępy tego listu, ze względu na swą treść i ton mogą razić naszego czytelnika, przyzwyczajonego do ujmowania poruszonych w nim zagadnień w innej płaszczyźnie, należy jednak wziąć pod uwagę, że miał on na celu poruszenie opinii polskiej, nie orjentującej się należyście na współczesnym układzie sił społecznych w naszym kraju i operującej przestarzałymi formułkami politycznego myślenia Inna rzecz, że zamierzenia sz. autorki, naszym zdaniem, jako zbyt idealistyczne z góry skazane są na niepowodzenie. (Red.)

Sz. Pani! Pismo Pańskie i nietylko Pańskie, porusza problem — lekceważony przez przeciętny ogół, omijany podejrzliwie przez niektórych, bolący bardzo wielu.

Piękne oblicze naszej wielkiej Unji historycznej przeobraziło się dziś w karykaturę. I dzieje się to ku radości sąsiadów a na pośmiech Europy. Objaw wsteczny, który parę lat temu Robert Cecil nazwał „skandalem“, jest dziś chroniczną chorobą. Dążenie ku naprawie tego nienormalnego stanu rzeczy, dążenie ku zgodzie jest wskazane.

Ale pismo Pańskie w Nrze 273, w artykule o bijącym tytule „Chaos Kowieński“, powiada: „Tej ewolucji (ku zgodzie) musi naród litewski sam dokonać i Polska żadnego udziału brać nie może i nie będzie“.

Podejmujemy ten frazes, mijający się ze sprawiedliwością i przezornością. Niewolno Polsce w tej sprawie owijać się w togę sędziowską obojętnie i dumnie, jak narodowi, *któryby nie miał dziejowych współpracowników, nie pomnażał swoich sił przez długie wieki ich siłami i nie miał obowiązku pomóc im, gdy się odradzają w powszechnej ewolucji świata.* Należy też zwrócić uwagę, że sto pięćdziesiąt lat obcego panowania i postęp czasu przyniosły na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej głębokie zmiany.

W przeszłości, Polska oparła swą mocarstwowość na Litwie, Białorusi i Rusi. I w przyszłości *tu* jej najjętsza pomoc. Wojna światowa rozerwała granice, połamała dawne kształty państwowe, ludy mniejsze i małe porwały się do broni, oswobodziły się z obcych pęt i poczęły żyć politycznie. Przemiana warunków bytu stała się ewolucyjną, naturalną. Bez zrozumienia tej przemiany na obszarze dawnej Rzeczypospolitej i bez odpowiedniego do niej postępowania a szczerzej współpracy ze strony Polski, możemy być pewni, że do żadnej zgody w krajach wschodnich nie dojdzie; mocarstwowość Polski stanie pod znakiem zapytania.

W tej bolączce i niepokojach, w tem niebezpieczeństwie, które mimo wojska i osadnictwa zawsze wisi nad jednym z najpiękniejszych miast wzniesionych wspólnymi trudami trzech narodowości dawnej Rzeczypospolitej — obwinia się zwykle i tylko Litwę i Białoruś. — Oskarżenie jest tu łatwe. — Narody odrodzone, powstałe przedewszystkiem z ludu, szorstkie, pierwotne, zapalczywe i niewyrobione politycznie łatwo wchodzą na obłądne szlaki.

Ale cóż czynił ów brat starszy, mający siłę i możność wyprowadzenia tych krajów z zewnątrz, daleko bardziej niż wewnętrznego, chaosu? Jak mówią o tem zainteresowani, którzy od tego stanu rzeczy cierpią najwięcej?

Mówią oni: zawiniliście Panowie — brakiem układów o Wilno, wzięciem tego klejnotu samą tylko przemocą siły materialnej, bez uwzględnienia odwiecznych praw współdziedziców historycznych, bez próby nawet podziału praw i wpływów. Zawiniliście względem Białorusi dobrowolnem zaprzepaszczaniem ziem Rejtanowych, mimo protestu, bólu i krzyku wszystkich warstw ludności tej ziemi. Dziś gdy narodowości młodsze pragną i proszą o szkoły w swym języku, poddając je zupełnie kierownictwu ministerstwa oświaty — jaką im dajecie odpowiedź?.. Proszący o nie, za to, że nie posyłają dzieci do szkół polskich, lecz do swoich, (coraz więcej zaamykanych), a zapłacić kar pieniężnych za ten krok nie są w stanie, są sadzani do więzień, ojcowie lub matki, jak tej ostatniej jesieni owi gospodarze ze wsi Strzelce i Raściuny w lidzkim powiecie, a inni rodzice, cytowani z miejscowości i nazwiskami w pismach publicznych, grzywnami obłożeni. Ten prąd ku oświacie własnej, narodowej, wtłaczany napowrót w ziemię, nie zaś pokierowany, zasila potem malkontentami wytworzone po kraju z innego źródła „hurtki i jaczajki”. Hurtki zostały odkryte, posłowie zgubni dla państwa unieszkodliwieni. Bezpieczeństwo społeczeństwa i kraju przywrócone. Ale jeżeli prócz ręki karzącej, Polska nie wyciągnie do swoich bratnich mas ciemnych drugiej ręki, dobroczynnej, która dźwiga i kształci, a kształci nie jak niewolników, ale ludzi wolnych, w ich przyrodzonym typie, tradycji i mowie — gdy te ostatnie pojmują, miłują i pragną ich — wtedy próżnemi się okażą wysiłki ręki karzącej, krótko trwałemi jej dzieła, i przylgnie do władzy jednostron-

nej odstraszące piętno — niesprawiedliwości i zafobania.

Wreszcie w publicystyce obecnej zaczyna się ukazywać i panoszyć bez protestu fałszywy pogląd, zacietrzewiony w swej stronniczości do zdumienia, że nie, jak wszyscy to wiemy, bezład podniesiony do zasady, brak poczucia obowiązku, rozproszkowanie wszelkich dodatnich sił i machinacje targowickie doprowadziły niegdyś Polskę do anarchji i upadku, ale że to kraje litewskie i rusińskie, społeczeństwa które wydały Kościuszków, Mickiewiczów, Tyzenhauzów, Lubeckich i Trauguttów, wniosły, *i dzisiaj wnoszą* do Polski „wschodnie” zepsucie i rozkład. (Patrz artykuł Stanisława Grabskiego: „Ciągłość historyczna” w ostatnio — jesiennych N-rach „Gazety Warszawskiej Porannej”).

Czy wobec takich.. pomyłek, wolno usuwać się Polsce od naprawiania krzywd i szczerzej współpracy dla dojścia do wspólnej zgody?

Czy ten problem, *bez wejścia myślącej Polski w siebie*, rozwiązany być może?..

My zwolennicy zgody, których jeszcze jest w kraju garstka, rzecznicy wielkich tradycji i harmonji narodów, wzywamy do zastanowienia się nad tem wszystkich jak Polska szeroka — *ludzi dobrej woli.*

Konstancja Skirmunt
(Futurus).

Żal mniej doskonały.

(Artykuł prawie katechizmowy).

Znany bojowiec endecki i apostoł polskiej wiary, s. p. ks. dr. Kazimierz Lutosławski, który przez szereg lat, wspólnie z p. Strońskim, usiłował pograć w niestawie osobę Piłsudskiego, czepiając się każdego jego słowa i posunięcia, miał się raz wyrazić, jak pisała prasa endecka, że *wiele-wiele mszy świętych odprawił za Marszałka...* Słowa te miały niby dowodzić, jak serce zmarłego kapłana — polityka pełne było miłości bliźniego i jak ciężki był dlań obowiązek czynienia bliźniemu rzeczy niemiłych. Człowiek jednak, posiadający wykształcenia teologicznego mniej niż poseł łomżyńsko-mazowiecki, powie w tym wypadku: czy nie byłoby lepiej mniej odprawiać tych mszy świętych, zato w walce z przeciwnikiem politycznym, zgoła się nie posługiwać metodą, znaną pod dosadną nazwą: *topienie w tyłce wody?!...*

Przed kilku znowu laty, u św. Wojciecha w Poznaniu wyszła dość zajmująca książka p. t. *Księża francuscy na pobojowiskach Francji.* Tak w przybliżeniu brzmiał tytuł książki, której autora nie pamiętam. Książ, który ją napisał, zebrał na kilkuset stronach dużo przykładów istotnego bohaterstwa księży francuskich, przed którym każdy nieuprzedzony chętnie pochylił ze czcią czoło. W pięknym jednak tym bukiccie znalazł się jeden kwiatusek nie pachnący, wyhodowany na gruncie tegoż przerostu pseudo-teologicznego myślenia nad przyrodzonym uczuciem moralnym, z jakiegoż wzięła swój początek enuncjacja ks. Lutosławskiego. Oto jeden rozdział książki wyżej zacytowanej zawiera opis, jak pewien francuski *monsieur l'abbé*, noszący czasu wojny strój *poilu*, chcąc uśmiercić gdzieś niebezpiecznego dla interesów Francji wartownika niemieckiego, skrada się ku niemu z tyłu, pełźnie niby kot po trawie, wreszcie własnoręcznie zabija Niemca. Czyni to

wszystko, po pewnej walce z sumieniem, które umie uspokoić różnemi skombinowanemi racjami teologiczno—patriotycznymi, z których nienajbliższą jest zamiar — skrupulatnie zresztą wykonany po dokonaniu zabójstwa — odprawienia przy pierwszej sposobności... mszy świętej za duszę zabitego. Tu, również człowiek, nienawykły do ekwilibrystyki dystynkcyj teologicznych, odczuwa swym nieomylnym instynktem wewnętrznym całą ohydę rozumowania i taktyki tego księdza Francuza. Lepiej byś nie maczał ty, sługo Boga miłości, rąk we krwi bliźniego, niż ubabrawszy je we krwi po łokcie, szedł sobie pewny do ołtarza Tego, który na ziemi sam się dał zabić, lecz nikogo nie pozwolił zabijać! — O jak nieskończenie wykształconym w teologii okazał się poznany przeze mnie w Wilnie, młodociany żołnierz niemiecki, pierwszokursista z seminarjum duchownego w Pradze, który będąc gorącym patriotą niemieckim, nie strzelał jednak z karabina swego w okopach do Francuzów!...

Te i podobne myśli przyszły mi do głowy po przeczytaniu w № 3 (b. r.) *Wiadomości Archidiecezjalnych Wileńskich* artykułu X. L. Ż.: *S. p. Ks. D-r Jerzy-Bonaventura Matulewicz, arcyb. tytularny adulijski, b. biskup wileński*. Autor tego nekrologu, przez cały czas rządów ś. p. biskupa Matulewicza w Wilnie, niedwuznacznie ujawniał, że do ordynariusza swego ustosunkowuje się identycznie niemal, jak *Dziennik Wileński* oraz X. Y. Z. Nekrologista dzisiejszy nie tylko że nie poczuwał się wcale do obowiązku bronięcia swego Biskupa, napastowanego w ciągu 7 lat przez notorycznych kłamców i oszczerców, lecz używał swego wpływu, *by bronić właśnie tych kłamców i oszczerców!*...

X. L. Ż., w cieniu murów wspaniałej fary grodzieńskiej, czyli na swojej plebanji stworzył placówkę prasową, która się trudniła i trudni po dzień dzisiejszy szerzeniem wśród ludu hasła jaskrawego nacjonalizmu, i skrajnego antysemityzmu. Nawet prokuratura polska, wcale pobłażliwa pod tym względem, musiała pociągnąć do odpowiedzialności tygodniczek grodzieński za drukowanie wierszydeł o tendencjach pogromowych. Niejedno słowo przykre ze szpalt tego organu padło również pod adresem ś. p. biskupa Matulewicza. Dziś jednak na niesprawiedliwość i niewdzięczność ludzką, X. L. Ż., po objęciu stali kanoniczej, zdaje się, nie ma powodu narzekać. Może tedy cieszyć się sobie *de pacifica huius stalli possessione*...

Znamy trochę X. L. Ż. z lepszych dawnych czasów, to też spodziewaliśmy po nim wyczucia tego faktu, że najlepiej uczci ś. p. arcybiskupa Matulewicza, jeśli zgon jego pominię dyskretnem milczeniem... Zrozumiał to nawet p. X. Y. Z., ale nie rozumiał tego X. L. Ż. I szeroko się rozpisal o *pełnej trudności, cierpień, najeżonej niespodziankami drodze postępowania* nieboszczyka w Wilnie, o jego *zawsze niezwykle łagodnem usposobieniu, słodczy charakteru dla otoczenia, spokoju...*, o jego *poważnym zrównoważonym umyśle, jasnym sądzie o rzeczy, łatwym ujmowaniu zawitych nieraz zagadnień, prostocie i uprzejmości w obejściu...*, o jego *głębokiej katolickiej prawowierności, powadze i namaszczeniu apostołskiem*...

I t. d. i t. d.

O, hypokryzjo!

P. K.

Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem do Redakcji ks. W. Czeczotta z dn. 23. I. 1927 r. wyjaśniam co następuje:

Chociaż nie jestem autorem korespondencji p.t. „Dziwny misjonarz” w Nr 19 „Przeglądu Wileńskiego” z r. ub., lecz treść jego w zupełności jest zgodna z prawdą.

Należy podkreślić, że osoba, której korespondencja owa dotyczy, nic nie przytoczyła na swoje usprawiedliwienie, natomiast wystąpiła z zaprzeczeniem p. Jelska właścicielka majątku Działkowicze, która może i w samej rzeczy nie wiedziała o postępkach zakonnika, oraz ks. proboszcz Madaliński, wrogo usposobiony względem ludności białoruskiej, chociażby i dobrych katolików.

W liście ks. Madalińskiego, przytoczonym przez ks. Czeczotta, nie znalazłem ani słowa prawdy, co jest tem dziwniejsze, że jest to pismo kapłana, który powinien stać na straży sumienia.

Ks. Madaliński pisze, że matka moja udała się do Działkowicz nie mając świadectwa od wójta ani od księdza, co jest nie prawdą, gdyż świadectwo ubóstwa czyli o pożarze matka moja od wójta posiadała i owe świadectwo przechowuję do dnia dzisiejszego, co zaś tyczy się świadectwa od księdza, to istotnie jego nie było, gdyż takowego nie żądał zakonnik w Działkowiczach, kołatać zaś o zbyteczne świadectwo u księdza Madalińskiego byłoby zbytecznym ryzykiem i narażeniem się na nieprzyjemności, co było do przewidzenia, bo gdy ks. misjonarz przeczytał nazwisko na świadectwie wystawionem przez wójta mojej matce, natychmiast przywitał ją słowami, przytoczonymi dosłownie w korespondencji. Nie trudno domyślić się, kto uprzedził zakonnika w Działkowiczach o „niegodnych istnienia Pierechodach”.

Ks. Madaliński utrzymuje, że zakonnik niby miał się ulitować nad moją matką i aby nie fatygowała się napróżno, dał jej furę drzewa opałowego, co jest nie prawdą, gdyż drzewo owe było dane nie mojej matce lecz człowiekowi, który był wynajęty przez nas celem przywiezienia spodziewanego budulcu z Działkowicz i który owe drzewo opałowe sam obciął dla siebie, nie zaś dla mojej matki u zakonnika wyprosił.

Ks. Madaliński nazwał mnie agitatorem szarpiącym stale księży, aby przedstawić mnie w jak najgorszym świetle. Oto jest przykład prawdomówności tego kapłana!

Rzeczywiście pewnego razu, na zebraniu koła młodzieży wiejskiej w N. Mysz, gdy ks. Madaliński starał się owe koło, mające na celu oświatę i samokształcenie się, w jaki bądź sposób rozwiązać, stanąłem w opozycji, lecz nie poczuwam się, abym czemkolwiek księdza obraził, natomiast ksiądz nie tylko mnie, lecz i innych należących do koła traktował w sposób ubliżający, nazywając członków koła niedowiarkami i utrzymując, że koło młodzieży wiejskiej jest zależne od Żydów oraz partyj politycznych, wrogo usposobionych do państwa polskiego.

Dziwnem mi się również wydaje, że ksiądz nigdy nie widuje mnie w kościele, pomimo że bywam w nim co niedzielę. Ni-wiem czy o każdego parafjanina ksiądz tak się troszczy, czy też jedynie ja zasłużyłem na szczególne względy księdza proboszcza?

Ciekaw też jestem, kto księdza Madalińskiego powiadomił o tem, że prezesem koła Białoruskiego Instytutu Gospodarki i Kultury w N. Mysz mianował mnie ks. Tatarynowicz, bo naprawdę dotychczas wyobrażałem sobie, że byłem wybrany przez członków tegoż Instytutu.

Nie mogłem dać niniejszego wyjaśnienia w prędkim czasie, gdyż jestem robotnikiem i muszę zarabiać na utrzymanie swoje i rodziny, lecz nie chcąc być niesłusznie oczerzonym przez ks. Madalińskiego, obecnie wyjaśnienie nadsyłam.

Nadmieniam, że list swój mogę poprzeć wiarogodnymi dowodami.

Proszę przyjąć etc.

Wincenty Pierechod.

Dnia 27 lutego 1927 r.

m. Nowa-Mysz.

Wielce Szanowna Redakcjo!

Ktoś niezgodnie z prawdą oświethł w „Przeglądzie Wileńskim”, w artykule „Białoruskaja Autokefalnaja Carkwa” moje wystąpienie na korzyść autokefalizmu: do nikogo w Pradze nie pisałem i od nikogo „odprawy” nie otrzymałem. Mam dobry zwyczaj wypowiadać swe przekonania, ale nikogo do nich nie namawiam.

Proszę przyjąć zapewnienie prawdziwego a szczerzego szacunku.

W. Łastowski.

Kowno, 19. I. 27.

„Natio”.

Pod tytułem powyższym ukazał się w Warszawie pierwszy (podwójny) zeszyt miesięcznika, poświęconego sprawom narodowościowym w Polsce.

Skład komitetu wydawniczego, do którego wchodzi senator M. Czerkawski, poseł I. Grünbaum, senator E. Hasbach, poseł F. Jeremicz oraz dr. D. Olsejko prezes T. Komitetu Litewskiego w Wilnie jakoteż treść numeru upoważniają do przypuszczenia, że wydawnictwo to zostało podjęte wspólnymi siłami wszystkich mniejszości narodowych (z wyjątkiem rosyjskiej), zamieszkałych w obrębie państwa polskiego. Z tego zaś, że tekst jest drukowany równolegle w czterech językach: polskim, niemieckim, francuskim i angielskim należy wnioskować, iż zadaniem pisma jest informowanie o potrzebach i postulatach owych mniejszości zarówno społeczeństwa polskiego jak jeszcze bardziej opinii zagranicznej.

Pierwszy numer przedstawia się okazale. Zawiera on artykuły dr. D. Lewickiego „Obecne położenie polityczne i dążenia narodu ukraińskiego”, F. Jeremicza „Białorusini, ich obecne położenie polityczne i ich dążenia”, I. Grünbauma „Sprawa żydowska”, E. Hasbacha „Niemcy w Polsce”, D. Olsejki „Przeszłość i teraźniejszość Litwinów w Wileńszczyźnie” oraz obfitą kronikę z życia powyższych pięciu narodowości.

Wszystkie artykuły utrzymane są w tonie umiarkowanym i mają charakter nie tyle programowy, ile informacyjny. Są też dość ogólnikowe, co jest zresztą nieuniknione w każdym zarysie wstępnym. Nie wszystkie natomiast odpowiadają założeniu pisma: zapoznawania myślącej politycznie Polaki oraz Europy z problemem narodowościowym w Polsce, jak o tem się mówi wyraźnie w przedmowie.

Tak np. dr. Lewicki szerzej się rozwodzi o położeniu narodu ukraińskiego pod rządami sowieckimi, rumuńskimi i czeskiemi, niż polskimi, artykuł p. Grunbauma omawia kwestję żydowską w całej jej rozciągłości, kronika zawiera sporo wiadomości, nie mających nic wspólnego z życiem mniejszości narodowych w granicach państwa polskiego i t. p. Wynika to prawdopodobnie z tego, że każda z narodowości, biorących udział w omawianem wydawnictwie ma zupełnie odrębne cele i interesy.

W gruncie rzeczy łączą je tylko wspólna niechęć do supremacji żywiołu polskiego i wspólna walka z nacjonalizmem polskim. Pozatem istotne dążenia i ideały są nieraz wprost ze sobą sprzeczne. Gdy zagadnienia litewskie, białoruskie i ukraińskie mają podłoże nie tylko narodowościowe, lecz i terytorjalno-międzynarodowe, kwestja żydowska posiada charakter problemu ściśle wewnątrzpaństwowego, a sprawa Niemców w Polsce znów ma odmienne zabarwienie. Ideologia i argumentacja niemiecka wychodzi z założeń biegunowo przeciwnych, niż ideologia i argumentacja litewska, białoruska i ukraińska. Odniemczenie zaboru pruskiego, nad czem boleje tak p. Hasbach, nie może być potępiane przez Litwinów, Białorusinów i Ukraińców, którzy marzą o odpolszczeniu ziemi litewsko-ruskich. A podkreślanie zasług kulturalnych kolonistów niemieckich i burzanie się z powodu częściowego ulegania ich wpływom asymilacyjnym rdzennego środowiska polskiego nie może oczywiście trafić do przekonania

uia tym, którzy walczą z osadnictwem polskiem i napływem obcego narodowo żywiołu, bez względu na jego wyższość kulturalną. Jest rzeczą nader interesującą, jak się te sprzeczności dadzą pogodzić w dalszej pracy, gdy wypadnie od ogólników przejść do wywodów bardziej konkretnych.

Wspólny front, oparty jedynie na przesłankach negatywnych, nie może być trwały i może przynieść jedynie korzyść doraźną.

a.

KRONIKA.

Bolesna prawda. Jakiś niepodpisany czytelnik „Słowa” piętnuje jako fałsz wywody kowieńskiego dziennika „Lietuva”, zarzucającego Polakom, że na wszystkie usiłowania inteligencji litewskiej nawiązania bliższych stosunków na gruncie wspólnej pracy dla narodu litewskiego odpowiadali zawsze dumnym „przenigdy”!

Ow czytelnik utrzymuje, że nie Polacy wymówili ten wyraz, lecz właśnie Litwini, którzy odrzucili w r. 1918 propozycję młodzieży ziemiańskiej zorganizowania wspólnymi siłami samoobrony przeciw nadciągającym bolszewikom.

Widocznie autor jest bardzo młody i w jego pojęciu antagonizm polsko-litewski datuje się dopiero od czasu wojny wszechświatowej. Gdyby był starszy i wogóle lepiej obeznany z historją ruchu litewskiego, nie występowałby z tak kategorycznym twierdzeniem, bo wiedziałby, że w r. 1903 wyszła w Krakowie broszura p. t. „Przenigdy”, jako odpowiedź na „Głos litwinów do młodej generacji magnatów, obywateli i szlachty na Litwie”. Głośna ta broszura, która spotkała się z aprobatą większości społeczeństwa polskiego w Litwie, jest tak przesiąknięta pychą, pogardą i nienawiścią do odradzającej się ludowej i demokratycznej Litwy, że zapewne nie mało się przyczyniła do pogłębienia zarysowującego się dopiero rozłamu. „Bolesną prawdą” więc jest nie sprostowanie „Słowa”, lecz właśnie twierdzenie dziennika kowieńskiego.

gorliwość wszechpolska. P. Cz. J. na łamach „Słowa”, zdając sprawę z akcji Komitetu budowy pomnika Mickiewicza w Wilnie, pociesza czytelników, że Komitet nie poweźmie żadnej decyzji co do wyboru projektu pomnika, nim się nie zapozna z opinią całej Polski. Zdaniem P. Cz. J., bowiem „opinią wyłącznie wileńska nie może być miarodajna w sprawie—ogólno-polskiej, wszechpolskiej, jaką jest sprawa wzniesienia właśnie w Wilnie pomnika Mickiewicza”.

Tego tylko brakowało Wilno nawet nie ma, jak się okazuje, prawa ozdabiania swych placów takimi pomnikami, jakie uzna za najbardziej odpowiednie, lecz musi czekać na łaskawą aprobatę Warszawy, Krakowa i Poznania! Ciekawość, czy Kraków, gdyby chciał wystawić u siebie pomnik, dajmy na to, Słowackiego, zapytałby o zdanie Wilna? Oczywiście nikomu w Krakowie nie przyszłoby to do głowy, a głos decydujący miałaby tam przedewszystkiem Rada Miejska. Ale Wilno tak doszczętnie zatraciło miłość własną, że nie tylko przyjmuje pokornie wszystko, co mu zechce narzucić Warszawa (dewastacja Zakretu!), lecz nawet dobrowolnie wyrzeka się wszelkiej samodzielności i w postępowaniu. Ach, ta gorliwość wszechpolska!

„Nowy kurs”. „Kurjer Wileński” ostro krytykuje zarządzenie Kuratorjum wileńskiego z d. 24 lutego, dotyczące wprowadzenia w pierwszych trzech klasach gimnazjów prywatnych z językiem wykładowym niepolskim nauki historii Polski po polsku.

Wywołało ono zrozumiałe rozgoryczenie w sferach pedagogicznych zainteresowanych narodowości ze względu na wyraźnie przebijającą w nich tendencję polityczną, godzącą w narodowy charakter szkolnictwa niepolskiego. Na wspólnej konferencji przedstawicieli społeczeństwa litewskiego, białoruskiego i żydowskiego uchwalono złożyć protest przeciwko rozporządzeniu Kuratorjum i wybrano delegację, która po audjencji u Kuratora uzyskała prolongatę terminu do czasu rozstrzygnięcia tej sprawy przez ministerjum oświaty.

Treść numeru. Condominium.—D. Bochan. Polemika o mniejszość rosyjską — *Auksztajtis*. Banicja ks. Szymaszysa.—K. Skirmuntt. List otwarty do redaktora „Dnia Polskiego”. — P. K. Żal mniej doskonały. — Listy do Redakcji. — a. „Natio”. — Kronika.